

A

AGNIESZKA KUBLIK: Dosłownie pan osłupiał na widok Petera Brooka...

ANDRZEJ SEWERYN: Muszę przyznać, że tak.

Przemówił do pana z telebimu podczas pańskiego benefisu w Teatrze Polskim.

- Nic nie wiedziałem o tej niespodziance przyjaciół z teatru, Weroniki Kuśmider i mego syna Jana.

A przecież to właśnie Brook najbardziej pana ranil słowami.

- Miewałem sny, w których stale mnie degradował. Peter rzadko podziwiał innych. Trzeba na to naprawę zasłużyć.

Pana z telebimu podziwiał.

- I dlatego osłupiałem.

Z okazji swoich 50 lat na scenie teatralnej chciał pan opowiadać własnie o...

- ...tych wszystkich, którym wiele, wiele zawdzięczam. Tych, którzy mnie wychowywali, tych, którzy mnie karcili.

Brook pomagał. Ponoć panu pomógł w traceniu pychy.

- Mam nadzieję, że ją utracilem.

Brook uczył mnie koncentracji, otwarcia się na świat, na inne estetyki teatralne. Ale przede wszystkim prawdziwej świadomości ciała.

Tego, że „jak kochasz, nawet pięta jest zaangażowana. Nie kocha się tylko od szyi w górę”.

- To moje sformułowanie, ale lekcja Brooka. On nauczał, że całe ciało ma być żywe, od pięty po głowę. A zaczęła mnie tego nauczać pani profesor Wanda Szczuka, w szkole teatralnej nasza pani profesor od ruchu scenicznego.

W pana dyrektorskim gabinecie najwęższy portret to Arnold Szyfman.

- To mój szef.

Teatr Polski powstał z wielkiej miłości. „Ja ci zbuduję teatr w Warszawie”, miał powiedzieć Szyfman do aktorki i reżyserki Marii Przybyłko-Potockiej. Wyznał jej to pod Giewontem.

- Taka jest piękna legenda, może to prawda? Myślę, że jest też inna prawda, że Szyfman zrobił to z miłości do Polski.

I do teatru.

- Do słowa, po prostu, do polskiego słowa. Gdy dostałem nagrodę Teatru Polskiego Radia Splendor Splendorów, to przypominałem, że Szyfman założył Teatr Polski ponad 100 lat temu „na użytek i chwałę oraz celem rozwoju polskiej sztuki scenicznej, krzewiącej piękno ojczystej mowy naszej”.

Szyfman to mówił w 1913 r., pod rosyjskim zaborem, ale niezależnie od tego, czy jest rok 2018 r., PRL, czy lata 30., zawsze warto bronić języka przed zagrożeniami. Wszelkimi: cenzorów, idiotów, głupców, kłamców, którzy słowa, ich sens zmieniają w zależności od tego, co chcą osiągnąć.

Szyfman miał wtedy 27 lat, był studentem filozofii i w osiem miesięcy postawił najnowocześniejszą scenę w Europie. Teatr Polski miał pierwszą obrotową scenę.

- Zdumiewające, prawda? My kilka lat temu mieliśmy zwykły remont, który trwał siedem miesięcy.

U pana jak to się zaczęło? Bo przecież Anna Radziwiłł, dyrektorka liceum Lelewela...

Nie kocha się tylko od szyi w górę

Jak kochasz, nawet pięta jest zaangażowana

Z **ANDRZEJEM SEWERYNEM***
ROZMAWIA **AGNIESZKA KUBLIK**

- ...do którego chodzili i bracia Kaczyńscy, co mi pan prezydent Lech Kaczyński przypominał podczas wręczenia Krzyża Komandorskiego Orderu Odrodzenia Polski. Muszę przyznać, że nie pamiętam ich z Lelewela, byli chyba dwie czy trzy klasy niżej. ...i wasza wspólna nauczycielka historii namawiała pana na historię. Aktorstwo odradzała, bo to „straszny zawód”. Pan posłuchał, nawet złożył na historię papiery.

- Muszę przyznać, że dzisiaj doskonale rozumiem panią profesor. Troszczyła się o mnie, o mój rozwój intelektualny, duchowy, nie wierząc, że aktorstwo mi to da. W stosunku do aktorstwa ujawniała się w niej arystokratka. Aktor to żaden zawód, to sprzedawczyk, niewolnik na usługach panów. Myślę, że mojej ukochanej profesorce zabrakło wyobraźni, a być może nawet i wiedzy, co się naprawdę może też zdarzyć w teatrze.

To skąd ten teatr w panu wtedy?

- Z Kuronia oczywiście. U mnie z niego tak wiele.

A mama nie była nim zachwycona.

- Pamiętam, jak po premierze „Prymasa” w Watykanie powiedziała Janowi Pawłowi II: „Ojcie Świąty, mój syn ciężko pracował w szkole, ale zaczął się spotykać z Kuroniem i wie ojciec, zaczęli się bawić w politykę”. Ale z sympatią to mówiła.

Więc teatr wziął się z obozów walterowskich. Nosiliśmy czerwone chusty. Miałem 10 lat, gdy składałem przysięgę w Cytadeli, że sprawy drużyny będą dla mnie ważniejsze niż sprawy osobiste. Jeździłem na obozy z Kuroniem, jego bratem Felkiem, z Sewkiem Blumsztajnem. Organizowaliśmy tzw. ogniska, występy dla drużyny i miejscowej ludności. Śpiewało się, pod-

skakiwało, fikołki się robiło i było miło. Jednocześnie w szkole były te wszystkie akademie w rocznice rewolucji październikowej czy 1 maja.

Pamiętam, jak na którejś prezentowaliśmy „Wesele w Atomicach” Mrożka.

„Hej, wysoko ci u nas technika stanęła, wysoko...”. Tak w 1959 roku żartował Mrozek z absurdów PRL.

- Potem była jakaś poważna rozmowa między szefem podstawowej organizacji partyjnej a naszą wychowawczynią. Jak mogła pozwolić na takie ekscesy!

Szybko się zapisałem do teatru młodzieżowego w Pałacu Młodzieży w Pałacu Kultury. Tam spotkałem Anię Nehrebecką, Stasię Celińską.

Dla mnie wtedy aktorstwo to był zawód, który miał głęboki sens patriotyczny, społeczny.

Jacek wspominał, że kiedyś jako komendant obozu chciał wejść do szalasu, którego pilnowałem, a ja go nie wpuściłem, bo rozkaz to rozkaz. I pamiętam, że jeżeli był jeden cukierek, a 10 osób, tośmy się dzielili tym cukierkiem.

Na 10 częsteczek?

- Naprawdę, każdy dostawał kawaleczek.

To nas wychowywało na ludzi wrażliwych na innych. I wychowało. Dziś wychowanków Kuronia nie widzę z nożami w zębach, z nienawiścią na ustach.

Muszę to głośno powiedzieć: Jacek Kuroń ze swoim wczesnym, tym młodzieńczym, komunizmem nikogo nie wychował na aparaczyka PZPR, na agenta Międzynarodówki, na agenta Służby Bezpieczeństwa. Jacek wychował nas na demokratów. Przyjaciele Kuronia nie stali kiedyś

tam, gdzie stało ZOMO, dziś nie stoją tam, gdzie stoi prezes Kaczyński.

Ale aktorstwo to nie jest zawód społecznikowski, to jest „ja, ja, ja”. Aktor musi być narcyzem, żeby być dobrym aktorem.

- Jak mówi w „Deprawatorze” Wojtyłki Gombrowicz: „siebie trzeba tworzyć, swoją myśl rozwijać, a nie o jakiś arianach czy innych tam religijnych popaprańcach się rozpisywać, to jest marnowanie czasu. Życia ci nie starczy, jeśli nie skupisz się na sobie. Artysta musi być trochę egoistą”. Ale narcyzem być nie musi.

No dobrze, ale czy pianista nim trochę nie jest? Nie chciałbym być żoną pianisty, malarza, pisarza, w ogóle artysty. Bo przecież ci ludzie są opętani swoją pracą. Jeżeli chcemy naprawdę dobrze wykonywać naszą pracę, to musimy być nią opętani. Nazywajcie to egoizmem, jak chcecie.

Ale proszę mi wierzyć, że aktorstwo można uprawiać w różny sposób. Dla sławy, dla pieniędzy - i to jest w porządku, pod warunkiem że nie udajemy, że chodzi o coś innego. Ale są i tacy aktorzy, którzy trochę myślą o świecie.

I to jest pan?

- Chciałbym, żeby tak było. Staram się. Na przykład używać mojej niezależności i popularności poza zawodem. Są ludzie samotni, chore dzieci. Jak Bóg da, jak jest możliwość...

U pana prawdziwy debiut to rok 1968. Nie tylko teatralny, ale też polityczny. Bo w marcu został pan aresztowany.

- Byłem studentem szkoły teatralnej. Myśmy już po premierze wiedzieli, że coś złego dzieje się wokół „Dziadów” Dejmka, o tym mówiło się na mieście, o reakcjach widzów. I jak

tylko się dowiedzieliśmy, że teraz ma być ostatnie przedstawienie, poleciliśmy na nie. Gustaw Holoubek mówił potem, że to prowokacja jednej grupy partii przeciw drugiej.

Z transparentem.

- „Żądamy dalszych przedstawień Dziadów”. Albo jakoś tak.

Na przedstawienie się nie dostaliśmy, więc wyjeśliśmy te nasze transparenty i jak ludzie wychodzili, to zaczęliśmy coś krzyczeć, chyba: „Niepodległość bez cenzury!”. Potem poszliśmy pod garderoby, od strony Wierzbowej, pamiętam, jak wychodzili Mrożewski, Zaczek. Holoubek nie wyszedł, siedział długo w garderobie. Potem ktoś krzyknął: „Idziemy pod pomnik Mickiewicza!”. Kiedy byliśmy na rogu Moliera i Trębackiej, otoczyła nas milicja i wezwwała do rozejścia się, grożąc użyciem siły.

A pan za nimi wzywał.

- Wskoczyłem na murek i mówię: „Koleżanki i koledzy, rozejdźmy się teraz, nasz cel został osiągnięty”. To zdanie zapamiętam na całe życie. Myślałem, że tak uchronię te dziewczyny i chłopaków, że inaczej dostaniemy po mordzie. Ale nie wszyscy uważali, że cel został osiągnięty, więc wielu z nas poszło pod pomnik. Milicja zaczęła nas wylapywać. Podeszło dwóch panów: „Pan Seweryn?”. Przytaknąłem, więc przez Ogród Saski poprowadzili mnie do Pałacu Mostowskich. Bez kajdanek, byłem od nich młodszy, że ja im wtedy nie uciekłem?!

No ale idę z nimi jak ciełą. Najpierw mnie przesłuchiwali, potem w kajdanki i na dołek. Posadzili mnie w celi z kryminalnymi. „A ty za co?”. „Ja polityczny”. „A, to masz przechłapanie na całe życie”. Tego zdania też nigdy nie zapomnę.



ALBERT ZAWADA / AGENCJA GAZETA

ciniak, Zdzisiek Tobiasz. Marzeniem wielu z nas było pracować w Ateneum. A kiedy Dejmka wyrzucono z Narodowego, dyrektor Warmiński przyjął jego aktorów. Holoubka, Zaczyka, Machowskiego...

No i 15 sierpnia wchodzi pan po raz pierwszy na deski teatru.

- Warmiński mówi mi: „Zagra pan konduktora w przedstawieniu »Dyliżans« Fredry w reżyserii prof. Jerzego Golińskiego”. Pamiętam, że jak pierwszego dnia szedłem na scenę, to kłaniałem się wszystkim, bo w szkole byłem nauczony: „Pamiętaj, musi być hierarchia”.

Potem zaczęła się seria zastępstw. W „Niemcach” Kruczkowskiego, w „Niech no tylko zakwitną jabłonie”, a w „Sonacie Belzebuba” zrobiłem zastępstwo za samego Fettinga, który grał Istvana, główną rolę.

Ale za Jana w „Fantazym” dostał pan opieprz od Warmińskiego. „Panie Andrzeju, ani dupa, ani ojczyzna”.

- Próbowalem scenę ze Stelką, którą pięknie grała Grażyna Barszczewska. Warmiński zobaczył to, wezwał mnie i mówi to, co pani zacytowała, czyli że ani nie gram miłości do ojczyzny, ani do kobiety. Po czym dodaje, że ze mną przynajmniej nie ma problemu, bo może mi to powiedzieć, a innym nie, bo się obraża.

Pan nie?

- Oczywiście, że nie! Ja miałem poczucie winy. A jak mi to Warmiński powiedział, to poczułem ulgę i radość, bo wiedziałem, na czym mam się skupić. Od tej pory bardzo nawet ostre uwagi reżyserskie, jeżeli nie są raniące, biorę na klatę i się nie obrażam. Nie miałem konfliktów z reżyserami, rzucania tekstem, wychodzenia z prób. Nie lubię takich relacji.

I mimo że w Ateneum złapał pan Pana Boga za nogi, zachciało się panu kolejnej awantury. Rozrzucania ulotek w listopadzie, po inwazji na Czechosłowację.

- Układałem ulotki na dachu jadącego autobusu. „Wycofać wojska z Czechosłowacji” - odbijaliśmy je na żyłomacze. Idiotyzm tego patentu polegał na tym, że te ulotki spadały nie na chodnik, ale na ulicę. Bogusia Blajfer robiła rozsądniej - zrzucała ulotki z któregoś pietra Smyka.

Aresztowano mnie, przedstawiono zarzuty i zwolniono na miesiąc. Byłem pod obserwacją, brałem udział w próbach z Dejmkiem, który przygotowywał wtedy „Wujaszka Wanię”, z Holoubkiem. I znowu mnie aresztowano, po rewizji o 7 rano. Zarzut: rozpowszechnianie fałszywych wiadomości. Trafiłem na Rakowiecką. Byłem przekonany, że mnie skazą i że koniec ze studiami.

Warmiński i Świdorski interweniowali w prokuraturze i Komitecie Wojewódzkim PZPR, ale wtedy o tym nie wiedziałem. Więc wymyśliłem, że zrobię w więzieniu zespół teatralny. Słowacki, Mickiewicz, Fredro. Siedziałem cztery miesiące. W pewnym momencie zaczęli zwalniać i wyszedłem.

Moje przeżycia w porównaniu z tragediami niektórych robotników czy księży to naprawdę nic. Ot, trzeci, czwarty szereg opozycji.

Za to pierwszy szereg zawodowy. Pańscy mistrzowie...

- ...o, tu mam listę tych, którzy przez ostatnie 50 lat byli dla mnie najważniejsi.

Seweryn pokazuje kartkę zapisaną od dołu do góry równiutkim pismem.

Jacques Lassalle. Szef Comédie-Française na początku lat 90. i pański przyjaciel. Dużo mu pan zawdzięcza.

- Zmarł w tym roku. Byłem jego królem Learem, Don Juanem, tytu-

lowym „Trudnym człowiekiem” w sztuce Hofmannsthal, Arnolfem w „Szkole żon”. Miał niezwykłą, subtelną inteligencję teatralną. To był jeden z największych europejskich reżyserów.

Lassalle kochał dialog myśli i tego żądał od aktorów. Praca z nim to coś cudownego i bolesnego zarazem. Bo on zawsze cierpiał i trzeba było cierpieć razem z nim.

On świetnie reżyserował kobiety, bo je rozumiał, dużo o nich wiedział. Dużo więcej niż ja, choć nigdy się nie rozwiódł.

Andrzej Wajda.

- Dla mnie był wszystkim - brat, ojciec, przyjaciel. I mistrz, mistrz, mistrz. **Na planie do aktorów mówił: „Kombinujmy, kombinujmy, dzieci”.**

- Andrzej potrafił się cieszyć tym, co robią jego aktorzy.

To właśnie z Wajdą i jego „Onymi” wyjechał pan do Francji. Tak zaczęła się francuska przygoda.

- Zaczęło się życie. Bo to na początku miała być przygoda, ale rozciągnęła się na 33 lata.

Widzę na ścianie kostium Don Juana z 1993 r. Pierwszy spektakl w Comédie.

- Ten kostium był wykorzystany w 2015 r. w „Don Juan w Warszawie”, podczas pierwszego Pożaru w Burdelu u nas.

Podobno na początku po francusku mówił pan kiepsko.

Pamiętam z kuroniowego harcerstwa, że jeżeli był jeden cukierek, a 10 osób, tośmy się dzielili tym cukierkiem

- Na pewno umiałem dobrze role na pamięć, chociaż nie do końca rozumiałem.

To jak pan sobie poradził?

- Jak to ująć elegancko? Byłem otoczony ludźmi mówiącymi po francusku.

To było ogromne ryzyko. Dzisiaj chyba bym podjął się grania po chińsku jakiejś sztuki, ale zostawać w Chinach to już chyba bym nie mógł.

Udało się. Angaż - jako trzeci cudzoziemiec w historii francuskiego teatru - do sławetnej Comédie-Française, garderoba z widokiem na Palais-Royal, wkrótce potem sociétaire - czyli członkostwo z udziałami. A w 2005 r. Legia Honorowa.

- Przecież nie planowałem tego wszystkiego. Powodem, żeby zostać, był stan wojenny. Ale ja już wcześniej chciałem coś zmienić, zaryzykować.

Profesor Wyrzykowski mówił nam w szkole: pamiętajcie, wasz zawód - i to są święte słowa - jest jak statek, którego dno obrasta glonami, coraz bardziej go spowalniają. Starajcie się oczyścić dno, żeby mógł płynąć dalej, szybciej i w jakim kierunku chce. Po 11 latach grania w Polsce groziła mi rutyna, a ona zabija. Jednocześnie kończyło się małżeństwo z Krysią Jandą, więc pojechałem z Wajdą do Paryża.

Latem na chwilę wróciłem, w sierpniu byłem w Stoczni, przekazywałem listy od Geremka do Strzeleckiego. Stan wojenny zastał mnie w Paryżu. Nie chciałem wracać, boby mnie zamknęli. Zostałem oskarżony o obrazę najwyższych przedstawicieli i przygotowywanie przewrotu systemu. Kretyni, bo z takiego na jaki? Ja tylko krzyczałem: „Precz, generale!”.

Potrafi pan zagrać wszystko?

- Na pewno nie.

Ale to pańskie słowa sprzed kilku miesięcy: „Może to zabrzmi pysznie, ale mam ochotę powiedzieć, że umiem zagrać wszystko. Nie dlatego, że tak sobie mówię, ale ze względu na wykształcenie zdobyte w szkole teatralnej, gdzie graliśmy stolik albo łyżkę do zupy”.

- Wycofuję się z tych słów, bo nie potrafię. Wiele - tak, ale nie wszystko. **Za to na wszystkie sposoby jest zagrożone słowo. To też zaczerpnęłam z pana.**

- Dzisiaj słowa znaczą dla jednych coś zupełnie innego niż dla drugih. To banał, ale mnie boli. Część społeczeństwa rozumie coś innego pod słowami patriotyzm, wspólnota, naród, kłamstwo, dobro, miłosierdzie nawet. Mamy w Polsce kilka „katolicyzmów”, nawet papież nie już jest autorytetem dla wszystkich wiernych.

To dlatego teatr jest polityczny? Bo dotyka podstawowych znaczeń słów?

- Zawsze był polityczny. Również dlatego. Ale dziś nie chodzi o to, co ja mam do powiedzenia politykom, bo nie mam nic szczególnego. Chodzi o to, czego politycy nauczyliby się, słuchając tekstów.

Że zemsta jest zła? Wystawił pan „Irydiona” Krasieńskiego na stulecie Teatru Polskiego.

- Dlatego że Szyfman „Irydionem” zainaugurował swój teatr, a nie dlatego, by komentować np. zemstę smoleńską. A że świat polityki karmi się tym, czym przeciętny człowiek - miłość, zdrada, zemsta, władza... Ach, gdyby tylko politycy umieli czytać klasyków.

Ale na marsze protestu pan chodzi. To polityka, nie teatr.

- Bo jak mówi Mrozek, „jak kogoś biją w mordę, to jak się da, trzeba protestować”.

Kogo biją?

- Trybunał Konstytucyjny, dziennikarzy, posłów, sędziego Tułęę, dyrektorów muzeów, prezydenta Wałęsę...

W maju na Marszu Wolności w Warszawie mówił pan: „Wielu ludzi w mojej ojczyźnie zaczęło się bać”. Czego?

- Izmów: nacjonalizmu, antysemityzmu, populizmu. Policji. Wyrzucenia z pracy. Na świecie zawsze było pełno ludzi nierozsądnych, ale do nie-

dawna się ukrywali. Teraz się ujawnili.

Pożar w Burdelu, który pan u siebie gościł, trafnie wykpiwa obecną ekipę jako zanurzoną głową w przeszłości, w przeszłych mitach i symbolach.

- Gorzej, że ona je twórczo przerabia, żeby zawładnąć świadomością Polaków.

Czy takie centralne sterowanie narodową wyobraźnią jest możliwe, nie wiem. Ale mnie, proszę pani, nikt nie będzie mówił, jak mam kochać ojczyznę. Bo już dawno Kuroń mnie tego nauczył.

Że?

- Że patriotyzm nie może się karcić skrajnościami, że patriotyzm to nie jest bezmyślne uwielbianie przeszłości, to nie wykluczanie, ale łączenie, że patriotyzm to praca... Pani się uśmiecha. Tak, tak, pracą sprawiamy, że nasze i innych życie jest lepsze, pełniejsze, mądrzejsze, ciekawsze, radośniejsze. A my dziś musimy bić się z władzą o taki patriotyzm.

Wie pan jak?

- Mówiąc prawdę. Odwracanie się od rzeczywistości typu „ja już nie mogę”, „dajmy spokój” albo „nic takiego się jeszcze nie dzieje” jest mi obce.

Więc się od rzeczywistości nie odwracam. Mijałem w drodze do teatru pomnik pana prezydenta Lecha Kaczyńskiego na placu Pilsudskiego. Nie rozumiem, dlaczego jest większy niż pana marszałka Pilsudskiego? A pani?

I ja nie. ●

***ANDRZEJ SEWERYN** - ur. w 1946 r., aktor, reżyser, pedagog. Grał m.in. w „Ziemi obiecanej”, „Bez znieczulenia”, „Dyrygencie”, „Dantonie”, „Panu Tadeuszu”, „Liście Schindlera”, „Na srebrnym globie”, „Kung-fu”, „Prymasie. Trzech latach z tysiąca”, „Ogniem i mieczem”, „Różyczce”, „Ostatniej Rodzinie”. W latach 1968-80 aktor Teatru Ateneum w Warszawie. Od 1980 r. przez 33 lata mieszkał we Francji. W latach 1984-88 związany z Międzynarodowym Centrum Kreacji Teatralnej Petera Brooka. Przez 20 lat był aktorem Comédie-Française, gdzie debiutował tytułową rolą w „Don Juanie” Moliera. Od 2011 r. dyrektor Teatru Polskiego w Warszawie